

KAREN SWAN

*Noc  
w Paryżu*



BUKOWY LAS



# Prolog

*Paryż, lipiec 2016*

Chmury okalały księżyc niczym broda, a atramentowy wciąż mrok zasnuwał horyzont. Słynne jak świat długi i szeroki światła były pogaszone, z wyjątkiem latarni na szczycie charakterystycznej wieży wyróżniającej znane miasto nawet wśród ciemności. Dwóch mężczyzn poruszało się po mansardach niepostrzeżenie, kryjąc głowy pod kalenicami i kuląc się jak jesienne liście, a ich ukradkowe kroki w uszach śpiących w mieszkaniach lokatorów brzmiały niczym stąpanie kotów.

Spostrzegli cel po drugiej stronie ulicy, zatrzymali się i przykucnęli między oknami, wzrokiem odliczając liczbę framug w takim samym budynku naprzeciwko. W milczeniu rozwinęli linę, poruszając się pewnie, z bijącymi szybciej sercami, przy wtórze karabinków przy uprzężach, które dźwięczały niczym kuranty. Wreszcie przypięli się do komina.

Pierwszy przekroczył krawędź dachu, czując znajomy przypływ emocji, gdy dzięki grawitacji lina się naprężyła. Przystanął na moment, by sprawdzić, czy przypięcie się utrzyma, a następnie opuścił się pod połać dachową, odpychając się stopami od ściany co parę metrów.

Drugi poszedł w jego ślady, i nie upłynęła minuta, a znaleźli się na miejscu: przy zakurzonych oknach, które wcześniej przykuły ich uwagę. Zostały przesłonięte, dokładnie jak na to

liczyli. Znajdujący się przy nich portfenetr był płytki – mieściła się tam zaledwie doniczka z różą – ale dało się wesprzeć na nim stopę, przerzucili więc nogi przez misterną balustradkę. Gdy stanęli równolegle do ściany, mogli przesunąć środek ciężkości ciała w stronę budynku i obaj otoczyli dłońmi twarze, wlepiając oczy w zaciemnione szyby. Lecz równie dobrze mogliby spojładać przez mgłę.

W oddali zawyła syrena. Obaj zastygli, gotowi podjąć działanie i śledząc, skąd dźwięk dobiega i w jakim kierunku zmierza.

Nie zmierzał jednak tutaj. Więcej wiedzieć nie musieli.

Skupili się znów na tym, by dostać się do środka, i wsparli dłonie w rękawiczkach na drzwiach. Od zewnątrz nie było klamki, a lewe wewnętrzne skrzydło drzwiowe ani drgnęło, lecz zewnętrzne lekko terkotało, co świadczyło o tym, że jest poluzowane. W każdym razie poluzowane w wystarczającym stopniu. Drzwi były stare – drewno zbutwiało, a pojedyncza szyba pękłaby, gdyby na nią kichnąć. Jednak nawet to nie wydawało się konieczne. Pierwszy z mężczyzn ugiął kolana i gdy rygiel znalazł się na wysokości jego wzroku, wyraźnie widział metal cienkiego, staroświeckiego haczyka, który samotnie bronił zewnętrznemu światu dostępu do środka. Mężczyzna wyjął nóż z tylnej kieszeni, wcisnął go w szparę i szybko przesunął go do góry. Haczyk odskoczył, okręcił się i uderzył lekko o rygiel.

I już. To takie proste – bystre oko, lina i nóż.

Zaniedbane drzwi zeszywniały – zawiasy skrzypnęły głośno, gdy siłą je przesunięto – ale dały się otworzyć, więc obaj mężczyźni stanęli na krytej parkietem podłodze. Włączyli czołówki, wypięli się z uprzęży i zaczęli cicho przemierzać puste pokoje.

Zatęchłe powietrze miało wręcz fizyczną konsystencję, więc zakaszleli, mimo że za wszelką cenę powinni zachować ciszę. Nie tylko w ten sposób zakłócili spokój w mieszkaniu – w kurzu zalegającym na podłodze widać było jak w śniegu, którędy przeszli. Lecz czy ktokolwiek kiedyś to zobaczy?

Najwyraźniej oprócz nich nikt nie wiedział, że to miejsce nadal istnieje. Kryło się na widoku, a obojętność sąsiadów bez wątpienia pomagała utrzymać sekret – wszyscy zakładali, że lokal do kogoś należy, stanowi cudzy problem. W końcu niepodobna było ot tak zgubić mieszkanie – nie dało się zapomnieć, że się je posiada.

A właśnie tak się stało.

Pierwszy z mężczyzn przystanął w kuchni. Na podłodze na boku leżało krzesło, garderoba stała pusta, a jej haczyki wyglądały jak powykrzywiane przez artretyzm palce, które nie mają już czego trzymać. Ani śladu garnka czy patelni, wiadra czy miotły. Mieszkanie ogołocono.

Zawiedzeni mężczyźni przeszli w głąb korytarza i nadal przeszukiwali mieszkanie, a ich bliźniacze smugi światła krzyżowały się w ciemności jak miecze w pojedynku.

Stanęli na progu sypialni. Do przeciwległej ściany dosunęto żelazną ramę łóżka, ale to nie ona wprawiła ich tętno w szybszy rytm. Na końcu stała potężna, drewniana skrzynia. Jej wieko było uszkodzone w miejscu, w którym je podważono – na listwach łóżka wciąż leżał łom.

Podbiegli do skrzyni. Pierwszy z mężczyzn przymrużył powieki, wpatrując się w niedużą karteczkę przytwierdzoną od środka. Odręczny napis wypłowił od słońca, ale na karteluszku nadal czytelna była nazwa firmy, a nad nią owalne logo – wyglądało to jak jakiś kwitek.

Ze jego plecami drugi mężczyzna potknął się o coś leżącego na podłodze i ciężko opadł na ramę łóżka. Zaklął, obejrzał się za siebie ze złością i wziął do ręki winowajcę. Myślał, że to zwykła szmatka, lecz gdy się jej przyjrzał, okazało się, że to zabawka – szmaciany gryzaczek w kształcie kaczki. Wypchana główka wyłysiała z eksploatacji, frotowy materiał wyblakł ze starości i zeszytniał od kurzu. Mężczyzna natychmiast kichnął i upuścił zabawkę.

No i tyle zostało z naszej ciszy – pomyślał jego towarzysz. Równie dobrze mogli urządzić imprezkę i sprosić sąsiadów.

– Cholera jasna – szepnął, świecąc latarką do skrzyni i zagładając do środka.

Drugi podszedł szybko i jego czołówka także zalała czeluść skrzyni światłem.

Obaj gapili się na zawartość z otwartymi ustami. Zobaczyli więcej, niż mogliby sobie wymarzyć.

– Szybko. Zabierajmy ją stąd.

## Rozdział pierwszy

*Wiltshire, Anglia, sierpień 2016*

Lato zawładnęło Anglią. Upały pałace kontynent wreszcie dotarły do brytyjskich brzegów i cały naród pławił się w charakterystycznym rozradowaniu, które rozpoczynało się zawsze, ilekroć słupek rtęci osiągał poziom trzydziestu stopni – parki były upstrzone leżakami, twarze pokrywały się piegami, dzieci bawiły się w fontannach, a dzielnice mieszkaniowe rozbrzmiewały plaskaniem japońskich butów o gołe stopy.

Ale Flora Sykes tego wszystkiego nie widziała ani nie słyszała. Ogród za domem jej rodziców, położonym na ośmiu akrach wiejskiego krajobrazu Wiltshire, otaczał wysoki, bukowy żywopłot, a ziemię wyścielały połacie rumianku. Ona sama z kolei od chwili przyjazdu leżała błogo plackiem na leżaku przy basenie – cudowne trzy godziny, odkąd wysiadła z samolotu. Jej starszy brat Freddie nadal nie wyściubił nosa z pokoju, bo wysypiał się jak student. Ojciec był zapewne na polu golfowym, a matka zbyła nieprzekonująco, wymęczona propozycje pomocy ze strony Flory i sprawnie wrzucała do wrzątku langustynki, nie bacząc na podejmowane przez stworzonka przypominające Nemo próby wydostania się z plastikowych toreb, w których trzymała je na kuchennym blacie.

Flora zamierzała czytać. Do jej noworocznych postanowień, zgodnie z którymi miała mniej pracować, a więcej

czasu poświęcać rozrywce, zaliczało się przeczytanie wszystkich pozycji nominowanych do nagrody Bookera. W marcu postanowienie zmodyfikowała i ograniczyła do zdobywców nagrody, a teraz byłaby wdzięczna, gdyby udało jej się przebrnąć przez pierwszą książkę, którą kupiła jeszcze w styczniu, a przeczytała tylko w jednej trzeciej. Problem stanowiła adrenalina. Rządziła ona całym życiem Flory, w którym po długich, intensywnych okresach pracy przez praktycznie całą dobę następowały epizody zatracenia w nieprzytomności, a przez to brakowało jej czasu i energii na takie przyjemności jak czytanie.

Na przykładzie tego tygodnia widać to było jak na dłoni. W poniedziałek obudziła się w Palm Beach, w środę w Chicago, wczoraj wcisnęła jeszcze spotkanie i drinki na Manhattanie, a potem śmignęła na lotnisko JFK w sukience koktajlowej na nocny lot na Heathrow.

– Herbatki, skarbie? – W uchu rozbrzmiał jej odległy głos matki. Usłyszała brzęk porcelany o wapień. – Musisz się znowu posmarować. Ramiona ci się zaróżowiły.

Ciepła dłoń musnęła jej skórę, szukając na ramionach potwierdzenia. Flora uniosła głowę, a na twarz posypały się jej obłoki włosów w kolorze ciepłego blondu.

– He? – jęknęła.

– Och, skarbie, martwię się o ciebie. Te wszystkie jet lagi mają zły wpływ na twój organizm.

Flora odrzuciła włosy do tyłu i próbowała usiąść. Matka układała właśnie nogi na sąsiednim leżaku. Na kolanach miała numer czasopisma „The Lady”, a w dłoniach filiżankę z herbatą. Słomiany kapelusz ocieniał twarz, która nie utraciła urody, mimo że matka miała już blisko sześćdziesiąt lat.

Flora poprawiła sznurki swojego bikini w kwiatuszki – do pływania średnio się nadawało, ale nie miała najmniejszego zamiaru się moczyć, no chyba że Freddie wrzuci ją do wody – i sięgnęła po herbatę. Jej zaczerwieniona od słońca twarz dodatkowo poróżwiała pod wpływem pary. Flora przyglądała się



sennie, jak jaskrawoniebieskie ważki muskają powierzchnię wody, a jaskółki dają nura w bezchmurnych przestworzach.

– Za ciężko pracujesz. To ci szkodzi.

– Wiem, ale w tej chwili nie mogę się wycofać. Muszę ściągać nowych klientów: właśnie po to Angus mnie zatrudnił. Na Boże Narodzenie trochę się zrelaksuję.

– Na Boże Narodzenie? Skarbie, do świąt padniesz trupem. Dopiero sierpień. Szczerze mówiąc, martwię się, że nie dotrwasz do wieczora.

– No pewnie, ty się zawsze zamartwiasz. Martwiłabyś się nawet o to, że nie masz się o co martwić. – Flora się uśmiechnęła. – Kiedy tata wraca?

Matka zerknęła w jej stronę z uniesionymi brwiami i sceptycyzmem w błękitnych oczach.

– Mówiłam, że lunch będzie o dwunastej trzydzieści, więc pewnie o pierwszej.

– A kiedy faktycznie będzie lunch?

– O drugiej.

Flora zaśmiała się cicho. Spóźniałstwo jej ojca zyskało już legendarny status. Spóźnił się na własny ślub (opona mu poszła w astonie), do szpitala na narodziny Freddiego (korki na Mayfair), do szpitala na jej narodziny (pies się zgubił w Hyde Parku, a karetka pogotowia nie chciała zaczekać) i na pogrzeb swojego brata (główną ulicę zamknięto na targ na Marlborough). Nie spóźniał się tylko na swoje aukcje. Pełnił funkcję głównego licytatora w Christie's od późnych lat osiemdziesiątych do stosunkowo niedawna, kiedy to przeszedł na emeryturę. Licytacje, które prowadził, słynęły z żywiołowej, gwarnej atmosfery, bardziej przypominającej polowania niż aukcje, a jego samego ceniono za dowcipne komentarze, które podbijały zarówno nastroje, jak i apetyty, co oznaczało, że nierzadko stuknięciem młotka zatwierdzał rekordowe ceny.

Ale jak wiadomo lunch może poczekać. Niewątpliwie o dwunastej trzydzieści ojciec Flory nadal będzie dziurawił

darń na szesnastym greenie, i to pomimo najszczerzych intencji, by spełniać wolę ukochanej żony.

– Freddie długo śpi – zauważyła Flora, popatrzywszy na zegarek, gdy upijała łyk herbaty. Wpół do pierwszej, mimo że zdaniem jej ciała był ledwie świt.

– ...Tak. To prawda.

Flora odchyliła głowę, wsparła ją na teakowym leżaku i popatrzyła na matkę.

– Co?

– Nic.

– Mamusiu, ja znam ten ton. O co chodzi?

Matka spojrzała na nią, lecz Flora wiedziała, że tak naprawdę jej nie widzi.

– Jest bardzo chudy.

– Zawsze taki jest.

– Cóż, jeszcze sporo schudł. Moim zdaniem nie odżywia się prawidłowo.

– Jestem tego niemal pewna – przyznała Flora z jękiem i wyciągnęła przed siebie nogę, by przyrzeć się swojemu pedicure. Już trzy tygodnie, ale wciąż dobrze się trzyma. – Pamiętaj, że ten człowiek powołuje się na ryzyko szkorbutu, by uzasadnić zakup hurtowych ilości chrupek.

Ale matka się nie zaśmiała, tylko wbiła wzrok w bujne trawniki.

– Myślę, że coś jest nie tak.

Flora parsknęła śmiechem.

– Ty zawsze tak myślisz. – O ile ojciec wiecznie się spóźniał, o tyle matka nieustannie się zamartwiała. Nagle jednak zauważyła wyraz jej twarzy. – Mamusiu, założę się, że po prostu tęskni za Aggie. W końcu zdał sobie sprawę, jaki fatalny błąd popełnił, gdy z nią zerwał, i tyle. – Postawiła stopę z powrotem na ziemi, przymknęła oczy i delektowała się przygrzewającym jej skórę słońcem. – Nie mógł trafić na nikogo lepszego niż Aggie.

– Podobno ona spotyka się już kimś innym.

Flora otworzyła jedno oko.

– Kto ci tak powiedział?

– Wiesz, skarbie, mam własne kontakty. Twoje pokolenie nie wymyśliło poranków przy kawie. – Po twarzy matki przemknął wyraz bólu. – Głuptasek z niego.

Flora obróciła się na bok i podwinęła ciasno kolana.

– Posłuchaj, możliwe, że każe mu się postarać i trochę po-błągać, ale nie ma wątpliwości, że przyjmie go z powrotem.

Matka zacisnęła usta, jak zawsze, gdy była zafrasowana. Flora rozpoznała tę minę z dnia, gdy podeszła do egzaminu wstępnego z matematyki, gdy ojciec zdawał test na licencję pilota helikoptera, gdy Freddie oznajmił, że weźmie udział w Maratonie Piasków...

– Obyś miała rację.

Umilkły i jedynie szelest przewracanych kartek zakłócił symfonię uwijających się wśród hortensji pszczoł oraz kosów ćwierkających na dębie. Towarzyszyło jej uderzanie o kafelki ogona Bolly'ego, ich labradora, ilekroć Flora opuszczała rękę i gładziła sierść psa, wylegującego się w cieniu leżaka.

Matka złożyła czasopismo i odwróciła przodem do córki, siłąc się na pogodniejszy ton.

– Mów, co u ciebie... i nie chodzi mi o pracę. Widujesz się z kimś?

Flora zerknęła na matkę z ukosa, nie ruszając głową. Stłumiła westchnienie.

– Nie. Nie mam czasu.

Matka także stłumiła westchnienie.

– Skarbie, musisz znaleźć czas. Jak masz w ogóle kogoś poznać, skoro spędzasz życie w schronach, magazynach, galeriach i samolotach?

– Spotykam masę ludzi, mamusiu... Po prostu nikt nie jest... – Zabrakło jej słowa.

– Wyjątkowy?

– Chciałam powiedzieć „inny”, ale tak, to pewnie to samo.

– Inny od czego?

Flora wzruszyła ramionami, mimo że doskonale znała odpowiedź. W swoim fachu spotykała setki mężczyzn: handlarzy, właścicieli galerii, kolekcjonerów, historyków sztuki, konserwatorów, by nie wspominać o klientach, choć oczywiście nigdy nawet nie pomyślała, by naruszyć granicę i umówić się z którymś z nich. Wszyscy jednak bez wyjątku sprowadzali się do dwóch typów. Jedni byli tacy jak jej szef Angus: w garniturach na miarę, kształceni w ekskluzywnych szkołach, tworzący elitarną klikę. Drudzy jak jej ojciec: erudyci, ekscentrycy, barwni i charakterystyczni, ale do niczego w sprawach praktycznych, roztargnieni i nieokreśleni w prozie życia. Flora pragnęła kogoś, kto miałby nieco więcej charakteru.

– Po prostu piękna z ciebie dziewczyna. Nie pojmuję, jak to się stało, że jeszcze nikt cię nie zgarnął.

– A co ja jestem, kubeczek jogurtu? – zaśmiała się Flora. – Nie mam daty przydatności do spożycia.

– To naiwne, skarbie. Oczywiście, że masz taką datę. Wszystkie kobiety ją mają.

Tym razem Flora nie powstrzymała westchnienia. Chciała, by matka odpuściła ten temat.

– Posłuchaj, mamó. Jestem szczęśliwa w moim obecnym życiu. Co ma być, to będzie. Nie można oszukać losu.

Zapadł milczący rozejm – obie obserwowały, jak para kósów skacze po trawniku i szuka robaków. Flora wiedziała, że nie musi już przytrzymywać Bolly'ego jak niegdyś, obecnie za bardzo doskwierał mu artretyzm, więc ptaki go nie obchodziły. Wolał drzemać w cieniu.

– Czy rzeź w kuchni dobiegła końca? – Flora zmieniła temat.

– Langustynki są idealnie ugotowane, różowiutki i ciepłe – oznajmiła matka z zadowoleniem. Gotowała równie elegancko, jak się nosiła. – A na deser zrobiłam ulubiony sernik twojego brata.

– O, świetnie, to go wyciągnie z łóżka. Już zaczynam myśleć, że trzeba będzie zainstalować pod jego drzwiami jakąś niedużą bombę.

Matka się zaśmiała, choć minę miała krzywą. Nagle rozległ się chrzęst kół na żwirze, obie kobiety obróciły się i zobaczyły, że ojciec Flory pędzi po podjeździe swoim jaguarem XK8 ze spuszczonej dachem przy wtórce piosenki Fleetwood Mac, a pęd powietrza rozwiewa jego śnieżnobiały włos.

– Własnym oczom nie wierzę! – wykrzyknęła Flora, zaskoczona. – Przyjechał punktualnie.

– Tak, ale prowadzi, jakby się spóźniał. – Matka cmoknęła, zdjęła nogi z leżaka i wsunęła wypielęgowane stopy w białe skórzane klapki. – Słowo daję, pozrywa główki moim ostróżkom! Za kogo on się uważa? Za Stirlinga Mossa? – Westchnęła, wzięła od Flory pustą filiżankę po herbacie i przeszła przez trawnik do męża, zadowolona, że znów ma się o co martwić.

Nie minęło pół godziny, a cichy sen poranka został z domu zdjęty jak prześcieradło z mebli. Radio 4 dudniło, a zarumieniony i wygłodniały ojciec wyłonił się spod prysznic. Podłoga wciąż była usiana drobnymi odciskami błota z jego butów do golfa.

– Cześć, tatusiu. – Flora się uśmiechnęła, gdy ojciec zauważył, jak siedzi bokiem na blacie z nogami w zlewie. W rodzinnym domu była to jej ulubiona pozycja do wypoczynku, odkąd w wieku ośmiu lat wpadła w pokrzywy, a matka ukoila piekące, obolałe stopy córki zimną wodą. Przygotowała się na wylewnego całusa, którego ojciec złożył na środku jej czoła, zasłaniając uszy dłońmi, tak że świat chwilowo przycichł, jakby znajdowała się pod wodą. – Udana rundka?

Wyglądało na to, że jej słowa wzbudziły ból, bo szeroki uśmiech ojca przygasł, a on sam pacnął się dłonią w czoło.

– Okropna! Straszna! – zajączał. – Już lepiej by mi poszło, gdybym walił w tę cholerną piłeczkę odkurzaczem! Sam nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Ja ci powiem, co się z tobą dzieje – orzekła matka, ucinając ze stojącej na parapecie doniczki gałązkę świeżego

rozmarynu i nie spuszczać oczu z wiewiórki, która jak na jej gust grzebała w ziemi w poszukiwaniu żołądki nieco zbyt blisko lobelii. Postukała ostro w okno, a wiewiórka czmychnęła na najbliższy dąb. – To przez ten dodatkowy kieliszek Maury wczoraj wieczorem.

Zapadła głucha cisza.

– Ależ kochanie, przecież jedliśmy figi! – zaproponował ojciec, gdy tylko odzyskał mowę, poruszony, że można by w ogóle pomyśleć o jedzeniu tych owoców bez uzupełniających je górnych nut melasy z granatu, charakterystycznych dla Maury.

– Dobrze wiesz, o czym mówię – odparła matka. Odwróciła się przodem do nich obojga, lecz w ojca wbiła spojrzenie pełne dezaprobaty. Próbował ją schwycić i pocałować, gdy wyjmowała chleb oliwny z piecyka szczupłymi, tonącymi w rękawicach kuchennych rękoma. – To Pouilly-Fumé w zupełności by wystarczyło. – Zamiast całusa dała mu tacę chleba posypanego rozmarynem. – Połóż to, proszę, na stole.

Flora zachichotała, gdy ojciec – odziany w wyjątkowo barwny zestaw złożony z wiśnioworóżowych szortów i zielonej połówki – odczłapał niepokieszony, że żona koniecznie chce się martwić kondycją jego wątroby. Szybka jazda, spożycie wina, a do tego brudna podłoga w kuchni... Naprawdę sobie nagrabił.

– Biedny tatuś.

Matka nakładała ciepłe, odłupane z pancerzy langustynki na sałatkę klubową, a Flora skorzystała z okazji i wykradła plasterki awokado. Matka odruchowo chciała ją obsztorcować i trzepnąć po palcach, ale się zreflektowała i zamiast tego dała córce kolejny plasterki.

– Trzeba cię dokarmić. Mogłabyś zawołać brata? – poprosiła, dźwigając pełniutki półmisek. – A potem przynieś te serwetki i kwiaty.

– Tak jest! – Flora zasalutowała, stukając piętami w zlewicę i szczerząc zęby. Matka wyszła, wdychając i kręcąc głową.

– Słowo daję.

Flora zeskoczyła z blatu i stanęła u podnóża schodów w holu.

– Ej! Szczurku! – ryknęła możliwie najgłośniej. – Lunch w ogrodzie, a jak nie, to posłę wojsko!

– Gdybym chciała poinformować sąsiadów, że zasiadamy do posiłku, tobym ich zaprosiła – oświadczyła matka cierpko, gdy chwilę później Flora wyszła do ogrodu i położyła na stole bladoróżowe lniane serwetki oraz dzbanek pełen świeżo ściętego pachnącego groszku.

– Za to założę się, że wstał – rzuciła Flora z szerokim uśmiechem, przemknęła do krzesła obok ojca i urwała sobie kawałek ciepłego wciąż chleba.

Ojciec niechętnie rozlał lemoniadę, która, jak próbowała mu wmówić żona, orzeźwiała równie skutecznie jak spritzer z szampana. Flora przymknęła powieki i skupiła się na tym, jak skroplona para ścieka na dłoń po szklance, a górujące słońce pulsuje sennie na jej skórze. Nie musiała otwierać oczu, by się zorientować, że brat nareszcie idzie w ich stronę po trawie. Tak, słyszała skrzypienie dolnego stopnia, trzask drzwi balkonowych o ścianę, ale zawsze umiała wykryć, gdy znajdował się w pobliżu – stąd przezwisko, jakim ją obdarzył: Nietoperka, które z biegiem lat przeszło w Gacka. Dzieliły ich niespełna dwa lata, lecz odkąd matka przywiozła ją ze szpitala, byli nierozłączni – Freddie co noc włożył do jej łóżeczka i dzielił się z nią swoją ukochaną zabawką. Pilnował siostry na podwórku pierwszego dnia szkoły i pomagał w niedziele, gdy rozwoziła prasę (ojciec nalegał, by oboje zarabiali pieniądze), bo z powodu wszystkich dodatków gazety były dla niej zbyt ciężkie; obiecał nie skarżyć mamie, gdy w tatuaż z motylkiem, który zrobiła sobie na biodrze, wdała się infekcja; odgrażał się, że pobije każdego ze swoich kolegów, który by do niej startował, a chłopaków, z którymi się spotykała, starannie lustrował – dużo srożej niż jej ojciec.

– Nie spiesz się, Szczuruś. – Leniwie otworzyła oczy i obrzuciła go szerokim uśmiechem. – My tu sobie pomrzemy z głodu, gdy ty... Cholera jasna!

– Flossie! Jak ty się wyrażasz! – zbesztła ją matka.

Lecz Flora nie potrafiła oderwać oczu od brata – tyczkowego, smukłego, z płową czupryną, wciąż całego w piegach, które kiedyś próbowali zliczyć, łącząc kropeczki permanentnym markerem. Lecz łobuzerski uśmiech, który wybawił go z niejednej kozy, zsunął się gdzieś na M4 – a wraz z nim jakieś osiem kilo.

Wymierzył w nią palec, gdy dosłownie usiadła na baczność.

– Nie zaczynaj! Wyglądasz ohydnie – stwierdził. – Serio, siostruniu, daruj sobie placki.

Chciała się roześmiać. Był to jego zwyczajowy żart, po którym na ogół następowały wybuchy wesołości, zauważyła jednak, że dzisiaj nikt się nie śmieje.

– Co się z tobą, u diabła, stało? – zapytała, spojrzeniem starając się nakłonić go do powagi.

– Flora, słownic... – zrugła ją znów matka, ale kątem oka Flora spostrzegła, że ojciec wyciąga szybko rękę i ją ucisza.

Freddie wzruszył ramionami.

– Nic. Wyluzuj.

– Ale jesteś chudy! – zawołała. Zbierało się jej na śmiech, że brat udaje, jakby wszystko było w porządku.

– Kocioł. Garnkowi – odparował, osunął się zwinnie na wolne krzesło i upił duży łyk lemoniady. Skrzywił się, zmarszczył czoło, patrząc na szklanekę, a potem przeniósł sceptyczne spojrzenie na ojca, który w odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami.

– Mamo, powiedz mu – rozkazała Flora.

– Już mu mówiłam, skarbie, tobie zresztą też – odparła matka, nakładając synowi na talerz gigantyczną porcję sałatki. – Jak myślisz, dlaczego zamówiłam dodatkowy kilogram langustynek?

Freddie pobladł na widok swojego talerza i zamarł z widelcem w dłoni.

– Prezentujesz się wstrząsająco – oznajmiła Flora, kładąc łykcie na stole i patrząc mu prosto w oczy. Nie zamierzała odpuścić tematu. Znała brata lepiej niż ktokolwiek inny. – Poważnie. Co się dzieje?



Otworzył usta, by udzielić odpowiedzi, lecz tak jak jedzenia nie dał rady włożyć do środka, tak słowa z kolei nie potrafiły wyjść na zewnątrz. Wzruszył jedynie ramionami.

Zaległa cisza, a w nią prędko wlało się zatroskanie. Teraz już wszyscy się martwili. Że Freddie nie mógł jeść, to jedno, lecz on zawsze, ale to zawsze umiał gadać. Flora przyglądała się, w głowie zaś miała gonitwę myśli. Czy słyszał, że Aggie zaczęła się z kimś spotykać? Dotknęło go to mocniej, niż się spodziewali?

Nie zdążyła jednak zadać pytania. Wszyscy podskoczyli, słysząc nagłe szuranie jego krzesła o posadzkę.

– Nie dam rady – wymamrotał.

– Freddie? – rzucił ojciec, głosem pozbawionym zwyczajowego humoru z powodu troski.

Freddie pomaszerował z powrotem w stronę domu, machając rękoma zbyt wysoko, nazbyt gwałtownie. Reszta rodziny popatrzyła po sobie – zszokowana, zaniepokojona, wstrząśnięta.

– Jesteście sobie bliscy. Mówił ci coś? – zapytała matka cichym głosem, wspierając łokcie na stole. – Cokolwiek, co by to tłumaczyło?

Flora pokręciła głową, wciąż zapatrzona w przestrzeń, którą dopiero co przemierzył jej brat, jak gdyby przedarł się przez materię powietrza i pozostawił ją za sobą w strzępach.

– Idę do niego – rzekł ojciec i rzucił serwetkę na stół, ale Flora położyła mu dłoń na ramieniu i powstrzymała go.

– Nie, ja pójdę – powiedziała z uporem.

Wstała i ruszyła do cienistego domu. Stare klepki skrzypiały pod jej ciężarem, gałęzie jaśminu zaglądały do środka przez otwarte okna, kwiecie wiciokrzewu kołysało się za szybami. Sunęła palcami po nierównych ścianach i wbiegała na górę, przeskakując po dwa stopnie. Zajrzała do sypialni, lecz wiedziała, że go tam nie zastanie, więc wspinała się po schodach dalej do położonego na górze pokoju na poddaszu. Zdobila go turkusowa tapeta z motywem Toile de Jouy, w okienkach wisiały ciężkie zasłony w kratkę, a na łóżku leżał zapomniany zepsuty zegar.

Niegdyś był to pokój opiekunki, ale ich dwojgu to nie przeszkadzało i nieustannie przemykali się obok śpiącej młodej Niemki czy Szwedki w drodze do swojej tajnej kryjówki.

Stała przy ścianie i otworzyła nieduży luk umiejscowiony w połowie wysokości. Gdy byli dziećmi, pod żadnym pozorem nie mogli go nawet otwierać. Przecisnęła się przez okienko i po chwili wyłoniła się na płaskiej części dachu – w niedużej kotlinie osłoniętej od strony ogrodu przez opadające ściany szczytowe. Przysunęła się do Freddiego, który nie zdziwił się na jej widok. Z przyzwyczajenia trzymała się blisko dachu.

Kiedyś się tu opalali, a ukradkiem nauczyli się też palić, choć Freddie nie pozwolił im tu pić – alkohol na wysokości to nie był dobry pomysł.

– Powiedz mi, co się dzieje – rzekła cicho, siadając obok niego. Na ogół rozpierali się na dachówkach, by poczuć na twarzach słońce albo przypatrywać się księżycowi, lecz dzisiaj Freddie zgarbił się jak kulanka. Łokcie wsparł na kolanach, głowę spuścił.

– Nie mogę. – Pokręcił głową.

Ścisnęła go za ramię, bo te słowa potwierdziły jej najczarniejszą obawę: że sobie tego nie uroiła i nie są to wydumane troski ich matki. Działo się coś złego. Naprawdę, dosłownie działo się coś złego.

– Niezależnie od tego, w czym rzecz, jestem po twojej stronie. Przecież wiesz.

Pokręcił głową, patrząc na nią z ukosa.

– Nie będziesz. Tym razem nie będziesz.

– Freddie, naprawdę nie istnieje nic takiego, przez co bym w ciebie zwątpiła. Jesteś moim starszym bratem. Uwielbiam cię.

Spuścił głowę i złożył dłonie tak mocno, że pobieleły mu kostki. Skrzywiła się empatycznie.

– Czy to dlatego chciałeś nas tu ściągnąć na ten weekend?

– Musiała poruszyć niebo i ziemię, próbując spełnić jego nietypową prośbę, by wszyscy się tu zjechali.

– Myślałem, że dam radę. Myślałem, że będę umiał wam wszystkim powiedzieć. Myślałem, że to będzie właściwe...

– Dasz radę – szepnęła. – To jest właściwe.

– Nie. Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo obserwowałem was tam na dole i nic się nie zmieniliście. Ty jesteś idealna, sarkastyczna, słodka, tata prostoduszny, a mama wszystko upiększa i zamartwia się byle czym.

– Zawiesił głos. – Tylko że teraz naprawdę ma się czym przejmować. Zniszczyłem to.

– Co zniszczyłeś?

– Nas, naszą rodzinę. A ja nie znoję waszych min, gdy wam to powiem.

Polub nas  
na Facebooku 

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl



## ZAMKNIĘTE DRZWI STRZEGĄ WIELU TAJEMNIC

Wybitna agentka dzieł sztuki Flora Sykes otrzymuje prośbę, aby ocenić obrazy pozostawione w opuszczonym od czasów drugiej wojny światowej paryskim mieszkaniu. Wpływowa rodzina Vermeilów, do której należą, chce poznać historię każdego z nich. Flora wkrótce przekonuje się, że ogromny zbiór jest bezcenny, ale i zostaje uwikłana w sieć przewrotnych intryg i rodzinnych skandali... Co ukrywa wiecznie zamyślony Xavier Vermeil? Zachwycająca, pełna zwrotów akcji opowieść, która prowadzi w najpiękniejsze i najbardziej tajemnicze zaułki Paryża.

*W paryskim mieszkaniu kryją się szokujące sekrety, nieoczywisty romans i wciągająca intryga – zdecydowanie warto przeczytać!*

KIRKUS REVIEWŚ

Nr 210000114

ISBN 978-83-8074-528-5



9 788380 745285



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł